

Andrzej Brzeziecki*

Obecna władza Wałęsy nienawidzi, Komorowskiego nie lubi, a mnie ledwo toleruje, więc i tak jestem w najlepszej sytuacji” – te słowa Aleksandra Kwaśniewskiego chyba najlepiej oddają zawirowania polskiej polityki ostatnich dekad.

Wałęsa i Komorowski byli przed 1990 rokiem w jednym obozie z liderami rządzącej dziś partii. Komorowski zresztą był nawet bardziej radykalny niż wówczas Jarosław Kaczyński. A Kwaśniewski stał po drugiej stronie jako reprezentant PZPR, czyli ówczesnej władzy.

Wielu ludzi dawnej opozycji mawia, że dziwna sprawa z tym Kwaśniewskim – gdy w 1995 roku, raptem sześć lat po upadku rządzącej przez cztery i pół dekady, zniechęconej ponoć przez cały naród, „komuny”, został prezydentem, to był powód do żaloby, dziś zaliczyliby go do swego obozu. Jeszcze inni widzieli w nim politycznego lawiranta, który pierwszy sięgnął po disco polo, czyli schlebiał niskim gustom wyborców, by wygrać wybory. On zaś wiedział, że na potrzeby kampanii wyborczej zamiast Jackiem Kaczmarskim, jak to robiła Unia Wolności, trzeba podeprzeć się zespołem Top One.

Jak to się stało, że „Kwachu”, z którego drwili Kazik Staszewski w „12 groszach” i Muniak Staszczuk, śpiewający o Kwaśnym Olu, umiał przenieść nas z PRL do czasów Unii Europejskiej? I stał się politycznym autorytetem dla ludzi z tylu różnych parafii?

Sam Kwaśniewski jako od dawna już „były” ma ten luz, że może swobodnie rozmawiać o swojej i Polski przeszłości. I to robi w wywiadzie rzece „Prezydent”.

Jego rozmówca, Aleksander Kaczorowski, wnikliwy dziennikarz i cierpliwy słuchacz, należał do tych właśnie, którzy mieli kwaśne miny po wyborach 1995 roku. A jednak, choć zadaje pytania o trudne sprawy czy wypadki Kwaśniewskiego, nie dociska prezydenta, nie łapie za słowa, nie dopytuje uparcie o finanse u początku SdRP, słynny „niedowład goleni” podczas wizyty na grobach polskich oficerów pomordowanych przez NKWD pod Charkowem czy o udział urzędującej głowy państwa w reklamie mebli.

Jest wyrozumiały, bo wie, że nie można kilkudziesięciu lat działalności polityka sprządać do iluś tam przejawów słabości czy mijania się z prawdą (na marginesie Kwaśniewski całą winę za Charków bierze na siebie w taki sposób, że czytelnik nie ma wątpliwości, że spiritus movens popijawy był biskup połowy Leszek Sławoj Głódź), ale to nie jedyny powód. Otóż trudno dziś nie traktować wyrozumiale i z sympatią kogoś, kto w polityce uprawiał optymistyczny, pozytywny oportunizm. Zgodnie z zasadą: dogadywać się z każdym, nie dawać sprowokować, osiągać słuszne cele nie presją i uporem, ale koncyliacją.

Z przywódców PRL Kwaśniewski najlepiej chyba ocenia Edwarda Gierka – którego rządy przypadły na jego młodość, kiedy poznawał świat, co oczywiście ma znaczenie, bo młodość zawsze dobrze się wspomina, ale w Gierku fascynowała Kwaśniewskiego „jego zachodnia elegancja w postawie, w ubiorze, zwłaszcza na tle siermiężnego Gomułki”. Gierek był też typem polityka, który nawoływał do narodowej zgody, był gładki i biesiadny. Te cechy odnajdujemy w Kwaśniewskim.

Każdy, kto ma jakiegokolwiek pojęcie o historii i polityce, wie jednak, że Wersal nie jest tu codziennością. Jeśli zaczynało się karierę w późnym PRL, budowało partię polityczną, walczyło się o najwyższe urzędy, miało do czynienia z politykami w Europie Środkowej, a zwłaszcza Wschodniej, ocierało o biznes i spore pieniądze, to nie zawsze było tak miło, jak wspomina Kwaśniewski. On sam



Biesiadny I GŁADKI

Przydałby się dziś taki Kwaśniewski

przecież musiał nieraz działać bez pardonu i nieelegancko.

Jednak, jak mawiał bodaj Bismarck, ludziom nie powinno się pokazywać, jak się robi kielbasę oraz politykę. Kwaśniewski hołduje tej zasadzie i sprawy nieprzyjemne odsuwa, o aferach epoki SLD, które doprowadziły tę formację do upadku, mówi tak, jakby po przeprowadzce do pałacu prezydenckiego otaczał się już wyłącznie ekspertami, naukowcami i dyplomatami, a z ludźmi postkomunistycznej lewicy nic go nie łączyło. Jego książka, jego prawo.

Ale przecież... czyta się to z przyjemnością i nostalgią. Kwaśniewski tak wspomina pierwsze lata III RP: „Wszyscy rozmawiają ze wszystkimi, bary żyją od rana do nocy, życie

towarzystwie kwitnie, wszyscy poznają się nawzajem. To jest okres pionierski dla polskiej demokracji, a w związku z tym trochę szalony, trochę nieodpowiedzialny”. Wtedy narodowo-chrześcijańska prawica, twardegłowe sieroty po PZPR, ale też co radykalniejsi moralnie postsolidarnościowi demokraci mieli to za dowód „zblatowania elit” i „porzucenia zasad”, a hasło Kwaśniewskiego „Wybermy przyszłość” za szczyt cynizmu. Dziś nazwalibyśmy to polityką kompromisu i dostrzegamy w tym wartości, które stały się w polityce towarem deficytowym i do których przywrócenia nawołują psychologowie społeczni.

A Kwaśniewski przez lata pokazał, że polityka przez spór i podział naprawdę nie jest w jego stylu. Że polityka to szukanie rozwią-

zań i usuwanie problemów, a nie ich prowokowanie, by zobaczyć, czy na awanturze da się coś więcej ugrać. Ta postawa przyjmowana była przez przeciwników politycznych z niedowierzaniem i krytykowaną przez jego własny elektorat, któremu nie podobały się przejażdżki w papamobile, przyniosła rezultaty. Rozwiązała kilka trudnych spraw w kraju – jak uchwalenie konstytucji w 1997 roku – i za granicą, choćby na Ukrainie, gdzie Kwaśniewski przyczynił się w 2004 roku do pokojowego rozwiązania właśnie dzięki temu, że mógł rozmawiać i z Leonidem Kuczumą, i przywódcami pomarańczowej rewolucji.

No i Kwaśniewski nie tylko zdobył sympatię wyborców, nie tylko ją utrzymał – przypo-

• Rok 1995, kandydat na prezydenta
Aleksander Kwaśniewski tańczy
z zespołem disco polo TOP ONE

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



mnijmy, że na drugą kadencję został wybrany w pierwszej turze – i nie tylko zdołał pogodzić się z Wałęsą, ale jeszcze zdobył uznanie ludzi tak przenikliwych i obytych w polityce światowej skali, jak Zbigniew Brzeziński czy Jan Nowak-Jeziorański.

Modus operandi Kwaśniewskiego wydaje się banalnie prosty: „Powiedzmy, że jesteś w polityce i masz coś do załatwienia, czy to w interesie państwa, czy regionu. Szukasz kontaktów. Masz listę osób, które są dla sprawy mniej ważne i ważniejsze. Zaczynasz od tych drugich. Oczywiście na tej liście są ludzie sympatyczni i mniej sympatyczni, ale akurat taki podział nie ma sensu, bo często najważniejsze decyzje podejmujesz z tymi, których nie lubisz i nie chciałbyś drugi raz spotkać”. Ale gdy politycy nie chcą sobie podać rąk nie tylko na pokaz, ale też nawet za kulisami, gdy idee nie mogą koegzystować obok siebie, ale każda ma ambicję wykończenia pozostałych, gdy miarą sukcesu w polityce jest podniesienie temperatury sporu, spolaryzowanie dyskusji, a ambicje poszczególnych graczy uniemożliwiają im zawieranie choćby taktycznych sojuszy, wcielenie w życie tego oczywistego schematu jest skrajnie trudne.

Oczywiście, skrajnie rozumiany pragmatyzm może prowadzić do relatywizmu i chęci pomijania trudnych spraw na zasadzie: Kochajmy się, nie psujmy nastroju przy kolacji, bo wszyscy Polacy... W rezultacie człowiek głosi banały, traci właściwości, może trafić do PZPR, ale równie dobrze do „Solidarności”, może do PiS, a może do Platformy, bo wszystkim rządzi przypadek.

Takiego „gładkiego”, nieco obrotowego Kwaśniewskiego pokazuje choćby świetny skądinąd musical „1989”, ale to nie jest tak, że „Ole, Olek!” czy rodzinne sesje dla „Vivyl!” to jedyna twarz bylego prezydenta. Kwa-

Polska to nie Wielka Brytania, gdzie dokumenty z czasów średniowiecza zachowują ważność i nie trzeba wszystko co kilkadziesiąt lat budować od nowa. Dlatego kiedy Kwaśniewski oddawał władzę, zaprosił prezydenta elekta Lecha Kaczyńskiego do Pałacu Prezydenckiego na kolację – żeby budować ciągłość

śniewski, owszem, był pragmatykiem. To nie jest typ intelektualisty dzielącego włos na czworo. Nie jest też ideologiem i doktrynerem. Szukał – w czym przypomina dziś, zachowując proporcje, Angelę Merkel – rozwiązań, a nie sposobu wdeptania przeciwnika w ziemię, nie trzymał się kurczowo głoszonych poglądów. Nie można jednak powiedzieć – i znów kłania się analogia do Merkel – że było mu zawsze wszystko jedno, byle tylko się „dogadać”. W czasie rządów centroprawicowej koalicji AWS-UW, a potem samej AWS, bywał ostrym recenzentem rządu, lecz nie wetował ustaw dla samej przyjemności wetowania. Rozumiał, że należy pozwolić większości sejmowej realizować jej program. Tym samym wyznaczał standardy koabitacji.

Albo weźmy jego postawę w sprawie Jedwabnego i udział w uroczystościach żałobnych oraz przeprosiny Polaków za zbrodnię sprzed lat. Z punktu widzenia czytelnika „Wyborczej” Kwaśniewski zachował się jak trzeba, ale wśród części jego wyborców, którzy lubią sielanki, nie była to postawa popularna, o elektoracie radiomaryjnym nie wspominając. A jednocześnie i tu znalazł złoty, co widać z perspektywy lat, środek: początkowo chciał przeprosić w imieniu Polski i Polaków, ale „wobec ostrych protestów przyjąłem formułę, która była rozsądniejsza: przeprosiłem w imieniu tych, których sumienia zostały poruszone tak samo jak moje. Nie chciałem gwałcić sumień tych, którzy uważali, że tej zbrodni w ogóle nie było albo że nie naszymi rękami jej dokonano”.

Co ciekawe, Kwaśniewski stara się pokazać, że wyzbył się też – jeśli je miał – kompleksów wobec dawnych tuzów opozycji w rodzaju Adama Michnika czy Bronisława Geremka. Cóż, nie ma on wiedzy i profesorskiej finezji Geremka ani humanistycznego rozmachu Michnika, a przede wszystkim wspaniałej dysydenckiej przeszłości. Jednak w warunkach demokracji to on – startujący z pozycji politycznego pariasa, jako lider skompromitowanych ludzi, których nazywano zdrajcami i pacholkami Rosji – okazał się skuteczniejszy. Jedynie gdy po raz kolejny podkreśla swą biegłą znajomość języków obcych albo kilkuletnie dobrze płatne wykłady na Georgetown University, przebija z tego chęć zaimponowania, a więc jakiś kompleks.

Czytelnik „Wyborczej”, dla którego bohaterami III RP są tacy ludzie jak Mazowiecki, Kuroń, Balcerowicz, Geremek, Michnik czy Frasniniuk, będzie za to musiał po lekturze wywiadu z Kwaśniewskim przyznać, choćby niechętnie, że także jego formacja budowała to państwo.

Widać to zwłaszcza w polityce zagranicznej. Polski ustrój akurat tu daje prezydentom spore pole do popisu, a Kwaśniewski położył olbrzymie zasługi w budowaniu wizerunku Polski jako kraju, któremu Zachód może ufać, choć ze swoim politycznym rodowodem miał pod górkę.

Może jego siłą negocjacyjną i wizerunkową wzmagał efekt zaskoczenia – że postkomunista, a jednak cywilizowany (zaś w kraju „giedroyciowa” postawa wobec Ukrainy i krytyka polityki Putina zyskiwały mu szacunek, a więc i akceptację, środowisk politycz-

nie odległych). Może liczne podróże na Zachód, które odbył jako student, sprawiły, że w miarę swobodnie czuł się wśród możnych tego świata (a im bardziej był obecny i aktywny, tym lepiej rozumiał motywacje polityków z innych krajów). Na pewno pomagała jego postawa wyzbyta narodowej tromtadacji. „W regionie jak ognia unikałem tezy, że Polska jest liderem, która jak widzę, bardzo podobna się obecnej władzy. Uważałem, że Polska w naturalny sposób jest liderem, ale nie powinna o tym gadać. To powinno wynikać z naszej empatii regionalnej, z pomocy, której umiemy udzielić, działalności adwokackiej wobec innych krajów”.

Inna rzecz, że Kwaśniewskiemu ze wszystkim było łatwiej, bo jego prezydentura przypadła na czas dla Polski niebywale szczęśliwy. Trudne reformy zostały już przeprowadzone, PKB ogólnie rosło, inflacja malała, kraj miał trzy wyraźne cele – uchwalenie konstytucji, wejście do NATO i wejście do Unii Europejskiej. To był czas optymizmu. Przed atakami z 11 września, kryzysami finansowymi, wojnami na Bliskim Wschodzie, katastrofą smoleńską i wszystkim, co się wydarzyło później, z obójstwem Pawła Adamowicza włącznie. Konflikty takie jak na Bałkanach, w Czeczenii czy reżim Aleksandra Łukaszenki, wydawały się raczej spadkiem po zimnej wojnie, a nie zapowiedzią przyszłości.

Sam Kwaśniewski zresztą jakoś pasował do międzynarodowego otoczenia, młodego, optymistycznego i odmieniającego przez przypadki słowo „przyszłość”, w którym ton nadawali Bill Clinton czy Tony Blair.

Oczywiście nie było tak, że tamte lata były bezkonfliktowe i tylko przyjemne. Już zaraz po wejściu Polski do NATO zaczęły się schody. Najpierw dzielną zachodnich sojuszników kwestia bombardowań Serbii, potem 11 września, walące się dwie wieże WTC, Afganistan i Irak. Kwaśniewski przyznaje, że ówczesne wybory nie zawsze okazały się trafne. Zwłaszcza jeśli idzie o wojnę w Iraku i jej następstwa w postaci tajnych więzień na terenie Polski. „Drugi raz bym się nie zgodził” – mówi Kwaśniewski o sprawie, którą w Polsce niesłusznie zlekceważono.

A wewnątrz kraju – wielka powódź 1997 roku, inflacja, bezrobocie – tliły się wciąż spore ogniska biedy, Polskę wciąż bez trudu dawało się opisać poprzez takie filmy jak „Cześć, Tereska”, „Edi”, „Pieniądze to nie wszystko” i „Dzień świra” – ale to ostatnia prosta, wejźmy do Unii i wszystko się zmieni. Oraz ekscesy polityczno-kulturowe, w ówczesnym wyobrażeniu liberalnego mainstreamu wykraczające poza „zachodnie” normy: awantury o lustrację, dekomunizację, afera Olina... Lecz tego typu problemy miały być tylko przejściowymi zawirowaniami, etapami na bolesnej drodze do dojrzałej europejskiej demokracji, przeminąć, jak rządy Vladimira Meciarza na Słowacji, które spowoły reformy, ale ich nie powstrzymały.

Tak, tamte czasy wydają się bardziej niewinne od obecnych. Wtedy też się klócono, ale ówczesne „kwasy” jakoś mniej zatruwały życie publiczne. Kwaśniewski: „Dawniej, mając różne życiorysy i oczywiście klóć się o wiele spraw, mogliśmy rozmawiać, działać koncyliacyjnie, budować współpracę. Inaczej nie zrobilibyśmy konstytucji, nie weszliby-

śmy do NATO ani Unii Europejskiej, nie rozwiązylibyśmy iluś tam problemów. Budowaliśmy korpus cywilny, który miał być elementem ciągłości i stabilności państwa”.

Właśnie wkład w tworzenie ciągłości państwa wydaje się jednym z największych osiągnięć Kwaśniewskiego. Polska to nie Wielka Brytania, gdzie ciągłość jest materialnie namacalna, a dokumenty z czasów średniowiecza zachowują ważność. Wojny i najazdy zmuszały Polaków, by co kilkadziesiąt lat musieli odbudowywać wszystko. Tu ciągle trzeba było zaczynać od nowa, zwłaszcza jeśli idzie o niepodległość i demokratyczne państwo prawa. Nie trzeba zresztą zewnętrznych zawirowań – w zasadzie od odzyskania niepodległości każda kolejna władza ma pomysł, by wszystko wywracać do góry nogami. Weźmy choćby same nazwy różnych państwowych instytucji.

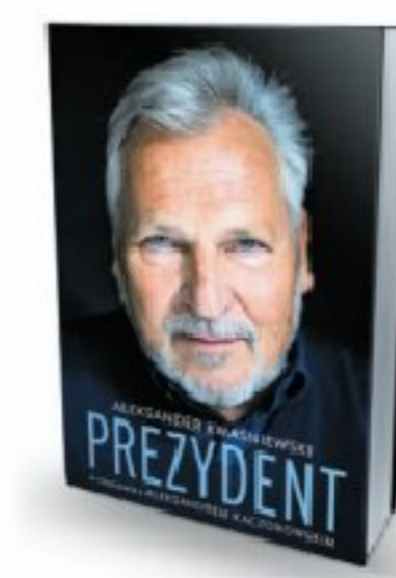
Dlatego samo przyzwyczajanie Polaków do idei ciągłości było tak ważne. Kwaśniewski wspomina, jak w 1995 roku obrażony nań Wałęsa nie zjawił się na inauguracji następcy, a nowego prezydenta w pałacu prezydenckim witali kucharz, jego pomoc i kelner. Dlatego dekadę później on sam zaprosił Lecha Kaczyńskiego na kolację, a potem odbył z nim rozmowę. Dziś ta ciągłość wydaje się zerwana.

Czy do końca? Kwaśniewski powiada: „Nawet w momentach, kiedy linie podziałów są bardzo silne, można utrzymywać pewne formy dialogu. I to jest myśl dla dzisiejszej Polski. Mam nadzieję, że nawet przy tych podziałach, jakie są teraz, chyba nawet głębszych niż wtedy, są jakieś grupy, które ze sobą rozmawiają. To jest ważne, żeby móc w zasadniczych momentach się porozumieć”.

Z tyłoma rzeczami miał rację. Oby w tej się nie mylił. ●



***Andrzej Brzeziecki** – historyk i dziennikarz, autor książek „Czerniawski. Polak, który oszukał Hitlera” oraz – wspólnie z Małgorzatą Nocuń – „Białoruś – kartofle i dzinsy”, „Armenia. Karawany śmierci”, „Ograbiony naród. Rozmowy z intelektualistami białoruskimi”, „Łukaszenka. Niedoszły car Rosji” i biografii zapomnianego asa polskiego wywiadu „Wielka gra majora Żychonia”. Właśnie wydał biografię Krzysztofa Kozłowskiego, pierwszego ministra spraw wewnętrznych wolnej Polski po Okrągłym Stole. „Kocioł, Kozioł, senator. Biografia Krzysztofa Kozłowskiego” w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



„Prezydent. Aleksander Kwaśniewski w rozmowie z Aleksandrem Kaczorowskim” wyd. Znak, książka dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl